№ 51. Warszawa, dnia 13 (25) Czerwca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

467

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

przez

Stanisława Chomentowskiego.

I.

Ogólny rzut oka na zadanie antropologii i stosunek téj nauki do innych umiejętności. — Trudności nastręczające się przy badaniu dzisiejszych ludów. — Maleńkie nogi chińskich niewiast. — Wzrost Belgijczyków. — Czaszki i szkielety ludzkie.

Ilekrotnie zdarzyło się nam spotkać z bardzo słusznym zarzutem, że nasze czasopisma zamieszczając przystępne dla ogółu wiadomości z nauk przyrodzonych, starają się zadowolnić czytelników swoich jakim ułamkiem z wielkiéj księgi natury, zupełnie oderwanym od całości, a zatém nie przedstawiającym dla czytającego najmniejszego pożytku. Tego błędu pragnąłbym uniknąć w niniejszych zarysach nauki o człowieku, czyli *antropologii*. Zanim więc przystąpimy do szczegółów, z któremi tak często w nowszych czasach się spotykamy, z powodu żywego interesu jaki powszechnie obudza teorya Darwina o pochodzeniu człowieka, musimy wprzód za stanowić się po krótce nad ogółem umiejętności mającéj za przedmiot nas samych.

Na pozór nic łatwiejszego jak poznanie własnéj istoty, która jest przecie uzmysłowieniem ogólnego pojęcia człowieka. „Ulegając temu złudzeniu, powiada *Karol Vogt*, wielu z pomiędzy nas postępuje jak owi mieszkańcy wielkich miast, którzy w miejscu swego urodzenia i wychowania ani razu nie zwiedzali osobliwości lub ciekawych zabytków, będących wyłącznym celem odległych podróży cudzoziemców.”

W starożytności zajmowano się wyłącznie badaniem istoty umysłowéj człowieka, mało lub zgoła nie zwracając uwagi na jego budowę fizyczną, na okolicę lub kraj w którym tenże przemieszkiwał. W historyi owych czasów mówi *Maury*, w dziele swojem p. t. *La terre et l'homme*, poszukiwano tylko działania moralnych przyczyn i roli jaką odgrywały osobistości u szczytu władzy stojące, lub kierujące wypadkami w narodach. Dziejopisarz rozwijał przed oczyma czytelników szereg spraw publicznych, ubarwiając takowe tu i owdzie opisem działającego społeczeństwa lub wizerunkiem bohatera albo męża stanu; zaniedbywał jednak wskazywać na źródła wypadków, grunt na którym takowe się rozwijały, klimat, rasy ludzi i ich zdolności umysłowe, język, temperamenta, zwyczaje i obyczaje.... nie pojmowano w jak ścisłym stosunku pozostaje człowiek do otaczającéj go przyrody. W ludzkości, widziano tylko władczynię ziemi i zapominano, że monarchini owa więcéj zależną jest od swoich poddanych, niż ci ostatni od niéj. Dopiero w nowszych czasach zarzucono dawny sposób spisywania dziejów, w celu dokładniejszego wyświetlenia wypadków, poczęto szczegółowiéj rozważać miejscowość na któréj takowe się wydarzyły, zabytki, urządzenia społeczne, oraz przekonania religijne ludów. Cały pochód dziejowy stawałby się nierozwiązaną zagadką, ślepym trafem losu, gdyby w nim nie wykrywano wyniku ogólnego porządku wszech rzeczy, w którym człowiek jest tylko wielkiem kołem machiny, głównym działaczem, wpływającym na inne otaczające go czynniki przyrody ożywionéj i martwéj.

W tém miejscu wypada nam zaznaczyć stosunek jaki istnieje pomiędzy historyą ludów a antropologią. Nauka o człowieku wzięta w najobszerniejszym zakresie obejmuje w sobie dzieje całéj ludzkości, które są tylko jéj częścią składową. W ścisłem jednak znaczeniu, antropologia ogranicza się wyłącznie do badania natury człowieka i praw nim rządzących; nie mieści ona więc w sobie historyi w całéj jéj rozciągłości lecz posiłkuje się nią często; opisy bowiem rozmaitych osobistości i wydarzeń dziejowych, dostarczają nam materyału do wytworzenia dokładniejszego pojęcia o istocie człowieka.

Lecz człowiek nie jest zjawiskiem czysto duchowém, oderwaném od ziemi którą zamieszkuje, ta zaś ostatnia jest znowu cząstką wszechświata. Ztąd rozmaite wpływy ziemskie, czyli telluryczne i od świata pochodzące, czyli kosmiczne, bezustannie działają na nasz organizm. Wykazanie tych więc wpływów w czasach przeszłych i teraźniejszych, ich działalność na ustrój ludzki, wchodzi również w zakres nauki o człowieku. Jakże odmienne od dzisiejszych musiały być pojęcia o stosunku owym przed czterystu laty, zanim odkrycie naszego nieśmiertelnego ziomka nie wyjasniło prawdziwego stanu rzeczy. Świat cały stanowiła wówczas ziemia, pokryta niebieskim baldachimem, oświecona dwiema wielkiemi ruchomemi lampami, z tych jedna — słońce, przyświecała wspanialéj w ciągu dnia, druga — księżyc, spełniała skromną funkcyę lampki nocnéj; niezmierna zaś ilość gwiazd, owych potężnych słońc i planet, stanowiła tylko ozdobę na ciemném tle baldachimu. Wiekopomne odkrycie Kopernika, wprowadziło umiejętności przyrodnicze, a więc i naukę o człowieku na nowe tory, i pociągnęło za sobą cały szereg innych odkryć i wynalazków. Ludzkość ocknęła się, niby zbudzona po długim śnie, do nowéj rzeźwiejszéj działalności. Pojęcie o przestrzeni uległo radykalnéj zmianie. Ziemia, uważana dotąd za świat cały; okazała się maleńką drobinką wśród niezmiernego mnóztwa, daleko od niéj potężniej-

szych ciał niebieskich. O faktach tych powszechnie znanych wspominamy tu z umysłu, aby dać wyobrażenie jaki wpływ musiały one wywrzeć na pojęcie o człowieku. Z roli książęcia wszechświata, zeszedł on na daleko skromniejsze stanowisko najrozumniejszego mieszkańca małego planety, wirującego w przestrzeni w liczném zresztą gronie na około swego słońca, a takich słońc i systematów słonecznych jakież niezmierne znaleziono mnóztwo.

Widzimy więc że historya naturalna człowieka posiłkuje się historyą powszechną, nauką o wszechświecie, czyli kosmologią, wreszcie nauką o ziemi czyli geologią. Lecz na tem nie koniec jeszcze.

Nowsi badacze postawili sobie za zadanie dochodzenia czasu w którym człowiek po raz pierwszy ukazał się na ziemi, czyli wykrycie starożytności rodu ludzkiego; tu już historya i geologia nie mogły dać zupełnie dokładnéj odpowiedzi. Zwrócono się więc ku poszukiwaniom zabytków sięgających najodleglejszéj starożytności, rozkopywano stare mogiły i kurhany, łoża oschłych jezior, a ztąd powstała nowa nauka pomocnicza, niezmiernie ważna dla studyów antropologicznych,—*archeologia przedhistoryczna.* Otworzenie jednego grobu zawierającego dobrze zachowany szkielet ludzki, z dołączoną bronią, ozdobami i narzędziami spółczesnemi, daleko jaśniejsze rzuca światło na budowę fizyczną i stan kultury pogrzebanego, niż opisy kilku naraz dziejopisarzy spółczesnych mu lub odeń późniejszych.

Antropologia, pojmowana jako historya rodu ludzkiego, wkracza we wszystkie prawie dziedziny umiejętności. Rzecz tu bowiem idzie nie o pojedynczego człowieka, jako istoty oderwanéj lecz o zbadanie milionów ludzi, rozsianych na powierzchni ziemi, o dochodzenie ich właściwości fizycznych i umysłowych, ich wzajemnego do siebie stosunku, a to znowu nie tylko w obecnym czasie, ale i w najdawniejszych, z których pozostały zaledwie ślady istnienia człowieka na ziemi. Z osiągniętych rezultatów poszukiwań tego rodzaju wnioskujemy dopiero o wzajemnym wpływie na siebie rozmaitych rodzajów ludzkich, o ich pomieszaniu ze sobą, pochodzeniu i rozgałęzieniu się na ziemi, zachowaniu się i stanowisku w obec sąsiednich zwierząt i w ogóle całéj przyrody organicznéj i nieorganicznéj. Wreszcie rozważyć musimy wpływ, jaki w czasach dawniejszych i teraźniejszych wywierają na ludzi otaczające ich powietrze, klimat, zmienne warunki bytu, a wreszcie samo wywalczenie tego bytu. Ztąd łacno się wykazuje, że oprócz wymienionych już powyżéj nauk, antropologia posiłkuje się nie tylko anatomią i fizyologią, czyli naukami o budowie i czynnościach człowieka i zwierząt, ale nadto zwraca uwagę na roslinność i minerały, przyzywa na pomoc skamieniałe włonie ziemi szczątki istot niegdyś żyjących, z pokładów zaś geologicznych w których owe zabytki uorganizowane wynalezionemi zostały, wnosi o ich starożytności. Widzimy więc jak nauka o człowieku bezustannie przebywać musi rozmaite działy nauk przyrodniczych. Lecz nie na tém jeszcze koniec jéj uczonéj wędrówki. Badanie umysłowéj czyli psychicznéj strony tak pojedynczego człowieka jak i rozmaitych ludów, wchodzi już w zakres psychologii, dochodzenie zaś związku zachodzącego pomiędzy umysłowością naszą a fizycznością i wzajemnego obojga oddziaływania na siebie, wkracza już w dziedzinę psycho-fizyki.

Badanie wreszcie rozmaitych pojęć i przekonań ludzkich o stosunku człowieka do Najwyższéj Istoty, czyli różnych religij, kończy długi szereg wiadomości, któremi się posiłkuje nowoczesna antropologia. Wiadomości tych albo raczéj umiejętności pomocniczych, nie zdołaliśmy nawet wymienić dokładnie po nazwisku, w tym pobieżnym szkicu, którego jedyném zadaniem było wykazanie olbrzymiego zakresu nauki o człowieku.

Że w wyszczególnionym powyżéj krótkim poglądzie nie podaliśmy nawet wszystkich nazwisk nauk któremi się posiłkuje nowoczesna antropologia, łatwo dostrzedz może każdy zastanawiający się nad tym przedmiotem czytelnik. Wiadomo naprzykład jak ważnym czynnikiem wpływającym na życie i rozwój zarówno umysłowy jak i fizyczny ludów, jest kształt oceanów i lądów, rozwój brzegów, rozdział i wielkość wysp, stosunek ludności na danéj przestrzeni ziemi, urodzajność lub jałowość różnych miejscowości, ilość zwierząt domowych i roślin, ich jakość i t. d., widzimy więc że już w tym pobieżnym szkicu nie wymieniliśmy tak ważnych nauk jak geografia i statystyka, lecz raz jeszcze powtarzamy że niepodobna jest prawie w pracy obszerniejszego nawet zakresu, a témbardziéj w popularnym szkicu wymienić wszelkich gałęzi wiedzy z jakiemi ściśle wiąże się antropologia.

Zestawienie jednak zdobyczy zebranych na polu rozlicznych umiejętności jeszcze nie jest w stanie przezwyciężyć trudności towarzyszących badaniu ludów dziś istniejących na ziemi. Wykazanie owych trudności da nam dopiero miarę tego z jakiemi przeszkodami walczyć musiano przy poszukiwaniach odnoszących się do pierwszych początków życia ludzkiego na naszym planecie.

Jako przykład tega rodzaju trudności nastręczających się przy badaniu łatwych na pozór do opisania rzeczy, z dziedziny nauki o człowieku wyjętych, niech nam posłuży następna treść rozprawy H. Welckera: *O nogach mieszkanek niebieskiego państwa* (Die Füsse der Chinesinnen), pomieszczonéj w jednym z ostatnich zeszytów uczonego Archiwum Antropologicznego, organu niemieckiego towarzystwa Antropologii, Etnologii i historyi początkowéj rodu ludzkiego (Urgeschichte) (*). Rozprawa rzeczona dzieli się na wstęp i sześć rozdziałów. Autor z kolei opisuje jak: był początek zwyczaju zmniejszania nóg u kobiet i od jak dawnego czasu takowy istnieje, z jaką uporczywością trzymano się tego zwyczaju jak tenże rozprzestrzeniał się po całém państwie niebieskiém pomiędzy płcią nadobną; wreszcie podaje metodę operacyi zmniejszania nóg u kobiet chińskich, wyłuszcza dokładnie stosunki anatomiczne pojedynczych części w tak sztuczny sposób zmniejszonéj nogi, porównywa nogę chinki i mieszkanki Europy, zastanawia się w końcu nad używalnością maleńkich chińskich nóg i możliwością chodu przy takowych, oraz nad wpływem tychże na rodzaj życia tak fizycznych jak i moralny niewiast niebieskiego państwa. Aby dać czytelnikom wyobrażenie jak pracowite poszukiwania czynił autor w celu skreślenia historycznego poglądu na początek kaleczenia nóg przez kobiety chińskie, przytoczymy pokrótce rozmaite zebrane przezeń w tym względzie wiadomości.

Według dzieła *Schaalje* pod tytułem: „*De kleine voeten der vrouwen in China*”, Batawia 1870, następujące krążą po Chinach legendy o owym początku okaleczenia nóg u niewiast.

W dawnych czasach mieszkała w państwie niebieskiém nader rzadkiéj urody cesarzowa, z nadzwyczaj małemi nóżkami, które uważano za tak piękne, że wszystkie damy dworskie chciały podobne nóżki posiadać, ztąd niektóre z nich wpadły na myśl silnego bandażowania sobie własnych nóg przez dłuższy czas, skutkiem czego nogi im się zmniejszyły. Inni znowu twierdzą że wzmiankowana cesarzowa miała nogi wcale nie małe lecz tylko koszlawe, skutkiem wrodzonego kalectwa; chcąc się przypodobać swéj władczyni, damy jéj dworu pragnęły za pomocą ściskania opaskami wywołać sobie sztuczne kalectwo nóg, podobne do tego jakie miała z natury cesarzowa. Tymczasem zamiast skrzywienia, nogi zmniejszyły się tylko, uznano jednak owe zmalenie nóg za piękne i rozpowszechniono je pomiędzy niewiastami całego kraju. Trzecia wreszcie wersya przypisuje początek maleńkich nóżek zazdrości mężczyzn. Mężowie chcąc przykuć żony swoje do domowego ogniska, zmuszali je do sztucznego zmniejszania nóg, za pomocą systematycznego i długotrwałego nacisku.

W dziele chińskiém, noszącym tytuł: *Czego Konfucyusz nie powiedział*, czytamy o początku zmniejszania nóg u kobiet następujące podanie: „Za czasów drugiéj dynastyi *Tang'ów*, panował książe nazwiskiem *Li-how-tshoe*, ten zamiast trzewików rozkazał żonie swojéj używać opasek czyli bandaży różnobarwnych. Ponieważ bandaże rzeczone łatwo się zwalniały i osuwały z nóg, przeto książe kazał je coraz mocniéj ściskać, skutkiem czego rozrost i dalsze rozwijanie się nóg zostało powstrzymane. Od księżnéj zwyczaj ten przeszedł do dam dworskich, a z czasem rozszedł się po całym narodzie”. Koniec podania tego brzmi jak następuje: „Po śmierci swojéj *Li-how-tshoe* poszedł do piekła. Gubernator *Kwo* który tamże w kilkaset lat później zmarłego króla nawiedzał, znalazł go pływającego we łzach własnych, i zajętego pleceniem pary słomianych trzewików. Zdziwiony tak smutkiem jak i rodzajem pracy zmarłego księcia, zapytał o przyczynę takowych. Odpowiedź dostał na stępną: wiesz dobrze, że kiedym żył jeszcze na świecie, kazałem żonie mojéj ściskać nogi kolorowemi kawałkami sukna. Odtąd moda którą zaprowadziłem przeszła w powszechny zwyczaj u kobiet naszego kraju. Niestety! pokutować za to muszę i żywot nieszczęśliwy pędzić, gdyż dla każdéj małéj dziewczynki, któréj nogi uciskane zostają, zmuszony jestem upleść parę trzewików słomianych. Na świat jednak przychodzi w Chinach tak wielka liczba dziewcząt, a wszystkim uciskają nogi, że nie jestem w stanie nastarczyć wypłatać takiéj massy trzewików, a za każdą niezrobioną parę muszę wycierpieć straszną karę. Gubernator zlitował się nad losem nieszczęśliwego króla i powróciwszy na ziemię polecił żonie rozwiązać nóżki małéj córeczki swojéj, pragnąc tym sposobem ulżyć mąk piekielnych biednemu księciu.”

Ów książe Li-how-tshoe według dziejopisarzy Chińskich miał rzeczywiście panować pomiędzy rokiem 961 a 976 ery Chrześciańskiéj. Autor niedawno wydanéj podróży na około świata a odbytéj na Austryackiéj fregacie Nowarze, Fryderyk Müller, opierając się na źródłach chińskich, odnosi również do końca 9 lub 10 wieku naszéj ery początek sztucznego zmniejszania nóg mieszkanek niebieskiego państwa.

Pomijając rozliczne inne legendy o początku małych nóżek, które autor z całą dokładnością spisuje według różnych podań licznych podróżników zwiedzających Chiny w ciągu kilkuset lat ubiegłych, dochodzimy do ostatecznych wniosków. Owóż w końcu rozdziału znajdujemy zestawienie zdań słynnych autorów podróży: Dam-

(*) Patrz Archiv. für Antropologie. Fünfter Band 1872. Braunschweig str. 133—152.

pier'a (w r. 1867), Du Halde, a w ostatnich czasach Tinkowskiego i Müllera, według których zwyczaj zmniejszania sztucznie nóg, odnieść wypada do niewoli kobiet istniejącéj w ogóle na wschodzie. Chińczycy nie posiadając haremów, jak sąsiedni im wyznawcy proroka, użyli okaleczenia nóg kobiet, ażeby tym sposobem utrudnić oddalanie się ich od domów.

Jak z jednéj strony wielkie trudności nastręczają się przy badaniu odległych od Europy ludów, pod względem antropologicznym tak z drugiéj i w samym środku naszéj ucywilizowanéj części świata, liczne wypadało przełamywać przeszkody, w celu osiągnięcia zamierzonego w tym kierunku rezultatu. Jako przykład dopiero co przytoczonego zdania, mogą posłużyć badania zasłużonego dyrektora obserwatoryum astronomicznego w Bruksełli Queteleta, który spędził lata całe z metrem i z wagą w ręku, ażeby dojść praw wzrostu ludzkiego w saméj tylko Belgii. Uczony ten z wielkiéj liczby spostrzeżeń wyciągnął dopiero wnioski o średniéj czyli przeciętnéj mierze wzrostu człowieka, i to tylko we własnym maleńkim swoim kraju. W nowszych znowu czasach wspomniany już powyżéj prof. Welcker w Halli, długie spędził lata nad dokładném wymierzaniu i rozpatrywaniu kilkudziesięciu czaszek męzkich i tyluż kobiecych, zebranych w samych Niemczech, a opierając się na tak pracowitych badaniach podał opis prawidłowéj czyli normalnéj czaszki germańskiego szczepu; sam jednak przyznaje, że praca jego bynajmniéj nie jest wyczerpującą, długich jeszcze wymagać będzie studyów, na poszukiwaniach opartych, aby dojść do pożądanego rezultatu. O ileż trudniejszém musiało być dochodzenie naukowe małych nóg kobiet chińskich, od spostrzeżeń nad wzrostem rekrutów belgijskich, lub czaszek zebranych po teatrach anatomicznych uniwersytetów niemieckich. Podróżujący naturalista, nawet na takiéj fregacie jak Nowara, wysłanéj umyślnie przez rząd austryacki w podróż naukową na około świata, musi się uważać za szczęśliwego, jeśli tu i owdzie, na w pół ucywilizowani lub zupełnie dzicy krajowcy, dozwolą mu przynajmniéj odfotografować się. Na południu, gdzie klimat gorący zmusza krajowców do chodzenia prawie nago, spostrzeżenia antropologiczne odnoszące się do budowy ciała ludzkiego, łatwiéj jeszcze dokonywać się dają, lecz na Północy, pomiędzy Samojedami, Lapończykami, Eskimosami i Czukczami, o ileż trudniejszém przedstawia się zadanie poznania kształtów fizycznych owych ludów, dniem i nocą okutanych w grube suknie futrzane. Gdzież z drugiéj strony znaleśćby można naturalistów, którzy lata całe zdolniby byli przemieszkać wśród tych ludów odległéj Północy?

Czaszka, jako najgłówniejsza część szkieletu kostnego, mieszcząca w sobie mózg, siedlisko duchowéj istoty, zwracała zawsze na siebie szczególniejszą uwagę antropologów. Wielu znakomitych badaczy przyrody, jak Blumenbach w Getyndze, Morton w Ameryce i inni, poświęcili całe życie swoje zbieraniu rozmaitych czaszek, należących do odmiennych szczepów rodu ludzkiego. Ale jakież trudności piętrzyły się tu znowu przy zbieraniu samego materyału naukowego. Niepodobna przecie było, jak powiada Karol Vogt, w swoich *Odczytach o człowieku*, żyjącym odcinać głów, odgrzebywanie zaś ciał zmarłych, a nawet i kościotrupów po cmentarzach, uważaném jest powszechnie za zbrodnię pociągającą za sobą surowe kary, i to nietylko wśród ucywilizowanych ale i wśród nieucywilizowanych ludów. Nieraz więc musieli wymienieni uczeni narażać się na ciężką odpowiedzialność osobistą, aby zdobyć dostateczną ilość czaszek, potrzebną do osiągnięcia pewnych wniosków naukowych.

Szczuplejszy jeszcze materyał naukowy zebrano dotąd z pomiędzy innych części szkieletu ludzkiego. Głowę lub czaszkę samą, łatwiéj jeszcze można przewieść, daleko jednak trudniéj z odległych części ziemi dowieść cały szkielet. Dziewięć dziesiątych majtków okrętowych, ma głęboko zakorzeniony przesąd, że obecność trupa lub kości ludzkich ściąga burzę morską na okręt. W razie więc przewożenia szkieletów usiłują je wszelkiego rodzaju podstępami wykradać, poczém natychmiast zatapiają takowe w morzu.

Po wykazaniu kilku punktów zaledwie z pomiędzy niezliczonych trudności nastręczających się przy badaniu antropologiczném, przechodzimy od razu do właściwego przedmiotu, rozpoczynając takowy od ogólnego poglądu na rassy ludzkie.

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 50*).

Zawiązywała się tedy cicha walka między młodém dzieckiem ludu a arystokratyczną dziewczyną. Wytworzyły ją owe zaledwo dające się ująć stosunki, o których wspomnieliśmy wyżéj. Walka ta, tém była niebezpieczniejsza dla niego, że się jéj nie domyślał;—hrabianka nie zdołała go olśnić, ale budziła w nim najżywszą sympatyę — stała mu się niby ukochaném dzieckiem, którego losy trzymał, jak sądził, w dłoni.

Zajęty nią żywo zaniedbywał Heleny—wizyty jego u téj ostatniéj stały się rzadsze. Więcéj gonił za myślą zrobienia przyjemności hrabiance, niż uciekał przed myślą wyrządzenia Helenie przykrości.

Co do hrabianki, łatwo zrozumieć, że i w jéj uczuciach dla niego nie było, ani mogło być nic nienawistnego. Trochę rozbudzona miłość własna prędzéj mogła wieść do miłości niż do nienawiści. Prawdę powiedziawszy, hrabianka Lula chciała po prostu, żeby ten energiczny demokrata schylił w przyszłości korną i rozkochaną głowę do jéj arystokratycznych kolan.

Nie od razu jednak postawiła cel jasno; postawiła go dopiero wówczas, gdy spostrzegła, że Szwarc jest przytém pięknym mężczyzną. Przypominamy nawiasowo, że hrabianka Leokadya miała dwadzieścia lat i że od dawna w duszy jéj budziły się rozliczne tęsknoty i niepokoje z których nie umiała sobie zdać sprawy. W języku poetów nazywałoby się to echem pragnienia, „by kochać i być kochaną, a może nawet, by umrzeć młodą"—czémkolwiek to jednak było, wystarczało, by Luli dostarczyć wątku do ustawicznéj myśli o Szwarcu. Zaufanie jakie doń miała, wdzięczność za doznaną opiekę z dnia na dzień zwiększały jéj sympatyę ku niemu.

Wprawdzie hrabianki matka mówiła za dni swoich Luli, że dobrze wychowana panna nie powinna się kochać, ale natura matka szeptała jéj zgoła co innego. Zaiste podobne mamy częstokroć bywają ze sobą w niezgodzie. Wypada z tego, że w duszach większości niewiast rzadko wzrośnie i spotężnieje szerokie a bujne uczucie, natomiast krzewi się tam tysiące nerwowych miłostek, mniéj skrzydlatych, ale i mniéj obowiązujących.

Lula konstatowała tedy fakt, że Szwarc jest rozumnym, szlachetnym i pięknym mężczyzną. nie śmiemy zaręczać, na który z ostatnich przymiotów kładła większy nacisk. Owoż tegoż wieczoru idąc spać, zadawała sobie ważne w następstwa pytanie: „A gdyby on mnie kochał?" Zamiast odpowiedzi pobiegła bosemi nóżkami nawpół rozebrana do zwierciadła. Autorom wolno tylko widzieć podobne obrazki. Czepeczek nocny obejmował jéj główkę, a z pod czepeczka sypały się pierścionki ciemnych włosów na białe ramiona, ginąc pod rąbkiem bielizny. Z błyszczącemi oczyma i falującą piersią patrzała w zwierciadło. „A gdyby on mnie kochał?!" powtórzyła—„gdyby klęknął tu blady i pałający..." Tu!? i w takiéj chwili!? krwawy rumieniec oblał jéj twarz i szyję—zdmuchnęła świecę.

Odtąd szczególne zmiany zaczęły się w niéj pojawiać; czasem opanowywał ją dziwny niepokój, wpadała w zamyślenie, czasem chodziła senna jakaś i ociężała niby osłabiona—indziéj kryła znów główkę na piersiach Malinki, całując ją bez przyczyny. Szwarca widywała codziennie.

A tak płynęły dni... miesiące... a powoli i w duszy Szwarca zaczął się odbywać niejaki przewrót. Z wolna owo dziecię ukochane dojrzało w jego duszy i zmieniło się w piękną w pełnym rozkwicie kobietę. Wzrok jego, gdy na nią patrzał, nie miewał już owéj dawnéj pełnéj przezroczystości i spokoju; dawniéj mógłby był uśpić ją na własnych piersiach i senną zanieść jak dziecię do łóżeczka; dziś sprawiłoby mu to przerażająco inną sensacyę. Coraz potężniała sielanka w duszy obojga, aż wreszcie, po upływie tylu a tylu dni, czy tylu a tylu miesięcy takie dwie rozmowy toczono w mieszkaniach pani Wizbergowéj i Szwarca.

. . . .

— A gdybyś kochała Malinko?

— To wtedy moja Lulu byłabym bardzo szczęśliwa i bardzobym kochała, i widzisz Lulu, Pan Bógby sprawił, że *on* mnie kochałby także.

— A gdyby nie kochał?

Malinka potarła czoło rękoma.

— Nie wiem, nie wiem, ale mi się zdaje, że kochać a kochać to różnica. Jabym kochała tak... Boże! ja nie umiem tego powiedzieć... ot! takbym kochała...

Malinka zarzuciła ręce na szyję przyjaciółki i przycisnąwszy ją do piersi, osypała pieszczotą i całunkami.

— Lulu moja, wtedy musiałby mnie kochać.

I jak dwa gołębie kryły głowy na piersiach jedna drugiéj.

Było milczenie.

— Malinko! rzekła ze łzami w głosie Lulu.

— Lulu moja serdeczna!

— Malinko, ja kocham.

— Wiem, Lulu.

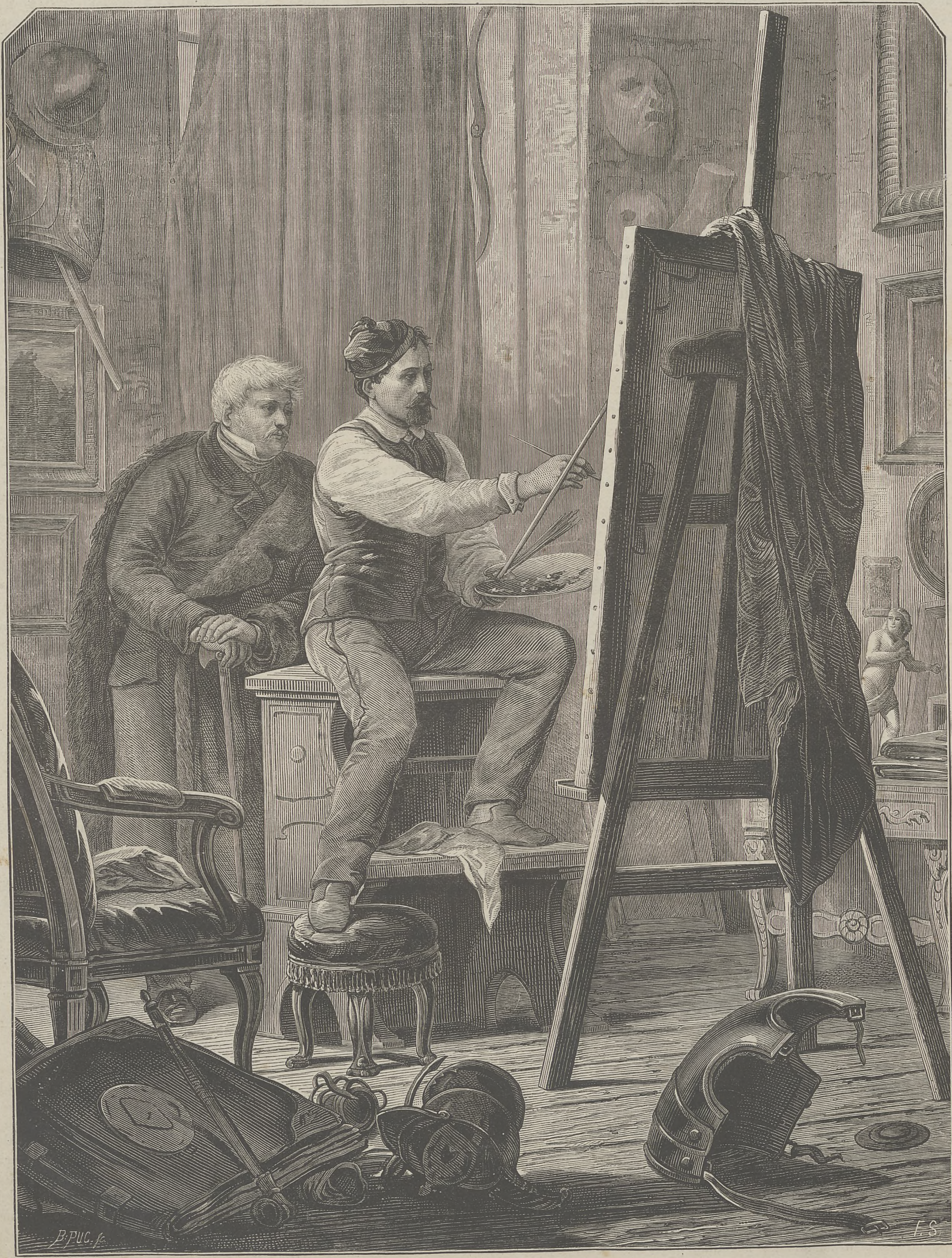
. . . .

— Stary! mówił Augustynowicz do Szwarca.

— Cóż tam nowego?

— Niech mnie!. jeśli to nowe. Widziałem stary—całowałeś woalik hrabianki... Niech mnie powieszą jeśli nie całował... No, lubisz całować—czekaj mam tu parasol, może parasol będziesz całował — a jeśli parasola nie chcesz to może zeszłoroczne moje okrycie. Podszewka poobrywała się w rękawach, zresztą dobra. Niech mnie!... Podaj-no fajkę... Wiem stary co się to znaczy; ta głupia Wizbergowa nic nie wie, ale ja wiem.

Szwarc zakrył twarz rękoma.



Wnętrze pracowni malarskiéj. Układ i rysunek Feliksa Sypniewskiego.

Augustynowicz patrzał na niego w milczeniu; szurgał nogami pod stołkiem, pochrząkiwał, mruczał coś przez zęby, wreszcie ozwał się wzruszonym głosem.

— Stary!...

Szwarc nic nie odpowiadał.

Augustynowicz ze współczuciem trząsnął go za ramię.

— No, stary, nie gryź się, nie martw... odezwiéj że się przecię, idzie ci o Helenę.

Szwarc drgnął.

— Idzie ci o Helenę. Uczciwy jesteś, stary.... Co tu z nią zrobić... Wiem!! Jeśli chcesz stary? ożenię się z nią; na Jowisza! ożenię....

Szwarc wstał.

Poczém nabił fajkę, przewrócił się na łóżko i pykał ze zdwojoną energią.

XIII.

Heleny nie było w domu. Szwarc kilka godzin czekał na nią, chodząc niespokojnie po jéj pokoju. Postanowił za jaką bądź cenę wyjść z fałszywego stanowiska, w jakie wtrąciła go równoczesna opieka nad wdową i hrabianką, ale sam przed sobą wyznawał, że postanowienie owo bolało go. A byłto ból twardy, prawie fizyczny. Szwarc przyszedł prosić o rękę Heleny, a zdawało mu się w téj chwili że jéj niecierpi. Ku tamtéj rwał się sercem i myślą, rzekłbyś czuł prośbę we własnej piersi, że prosił u własnéj woli o chwilę jeszcze dla tamtéj. Kochał Lulę jak Nie byłoto z nim zgodne, i długo trwać nie mogło. Wypadkiem Augustynowicz z właściwym sobie cynizmem rzucił mu w oczy tą miłością i zmusił go do spotkania się z nią, twarz w twarz. Dalsza ucieczka była już niepodobną—Szwarc stanął do walki i wyszedł z niéj... do Heleny.

Ale nie wyszedł bez śladów walki. Miał gorączkę we krwi i nie mógł myśléć spokojnie. Rozmaite obrazy małych a drogich wspomnień przychodziły mu na pamięć, przytém, w téj chwili więcéj niż kiedykolwiek wierzył we wzajemność Luli. „Czy mam prawo łamać i jéj szczęście?". Ta głupia i niedołężna myśl huczała w nim jak ostatnie strzały zwyciężonych wojsk, rozbił ją jednak refleksyą, że między nim i He-



Artyści malarze podczas letnich studyów przyrody.

Pięknie mu świeciło na szerokiem czole postanowienie, a lubo z zasuniętych brwi czytałeś ból i walkę, widać było, że zwycięztwo tam padnie, gdzie Szwarc zechce.

Ścisnął rękę Augustynowicza.

— Wychodzę.

— Dokąd?

— Do Heleny.

Augustynowicz wytrzeszczył na niego oczy.

— Do He-le-ny?...

— Tak, odrzekł Szwarc: dość oszustwa i wahań! Do Heleny z prośbą o jéj rękę.

Augustynowicz popatrzał za odchodzącym, i ruszywszy głową mruknął sobie przez zęby:

— Widzisz głupi Adasiu—jak to ludzie robią. tylko natury energiczne a napozór zimne kochać umieją.

Przygotowywał się do przyjęcia Heleny, a przewidywał, że nie mało go to kosztować będzie. Nie masz nic wstrętniejszego, jak nie kochanéj kobiecie mówić że się ją kocha. Jestto jedna z najmniéj możebnych hipokryzyi dla prawdziwie męzkiéj natury. Szwarc kochał ongi Helenę, ale ją przestał kochać, jeszcze zanim się opatrzył jak i ile przywiązywał się do Luli. Gdy się opatrzył miewał chwilę słabości; tę nową miłość czuł a bał się o niéj myśleć i przyznać. Gdy serce zagłośno gadało, mówił doń: milcz!—i zatykał uszy bojąc się własnych możliwych postępków i własnych na przyszłość postanowień. leną stoi obowiązek, między nim i hrabianką—nic.—

Inne tkwiły trudności w następstwach postanowienia Szwarca. Postanowienie było uczciwém, a jednak żeby go zmienić w czyn należało skłamać i potém kłamać przez całe życie udając miłość. „Złe następstwem dobrego!—Eh! czy nie przyjdzie zwariować myślał Szwarc.—„A to życie się płacze jak nić. Każdy kręci się za szczęściem jak pies za własnym ogonem—i każdy z równem powodzeniem go goni". Ho! Szwarc nie lubiący deklamacyi wpadał jednak m dyalektykę nieszczęścia. Taka filozofia ma jednak urok i człek lubi swą niedolę jak dolę.

Tymczasem zapadał wieczór a Heleny nie by-

ło widać. Szwarc przypuszczał że musiała pójść na cmentarz, i sam nie wiedział dla czego myśl owa rozgniewała go tym razem. Tymczasem zapalił świecę i jął chodzić po pokoju. Przypadkowo wzrok jego padł na portret Potkańskiego—Szwarc nie znał go, a nie lubił chociaż na usprawiedliwienie antypatyi, zaledwie mógł przytoczyć słowo „panicz“.

Teraz, gdy znów spojrzał w owo szerokie pogodne oblicze, prawie nienawiść błysnęła mu w oczach:

— „Ostatecznie i dla niéj, jestem tylko konterfektem tamtego” myślał. Nie była to prawda. Szwarc cale różnił się charakterem od Potkańskiego i Helena kochała już dziś Szwarca dla Szwarca; nie mniéj ta myśl ubodła go, dużo byłby dał gdyby Helena nie była żoną ongi tamtego i gdyby niemiała z nim dziecięcia. „I ja będę miał dziecię—rzekł Szwarc”,—syna, którego wychowam na dzielnego i twardego męża... Ha gdyby to przyszłe dziecię było mojém i... Luli!

Wstrząsnął się febrycznie i zacisnął usta: kilka kropel potu błysnęło mu na czole. (*d. c. n*).

PRZEGLĄD LITERACKI.

Sztuka, zarys jéj dziejów, zarazem podręcznik dla uczących się i przewodnik dla podróżujących 104 drzeworytów, przez J. Łepkowskiego w Krakowie 1872 r. nakładem wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych. Jeden tom w dwóch częściach: Część I. Wiadomości wstępne, zawiązki sztuki, znamiona i cechy stylów, zarys dziejów sztuki, żywoty najznakomitszych budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy str. 401. Część II. Skorowidz dziejów sztuk pięknych z epoki chrześciańskiéj, wykaz miejscowości w których są calne zabytki sztuki, str. CLXXVI.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 50*)

Posłużyłoby to autorowi do zapełnienia braku związku jaki widać pomiędzy budowaniami palowemi i świątyniami pogańskiemi i w ogóle drewnianem budownictwem a kamiennem.

Tu inna jeszcze przekładnia w dziele p. Łepkowskiego zdaje się iż byłaby na swojem miejscu. P. Łepkowski mówi o budownictwie drewnianém na końcu całéj rozprawy o stylach, zamiast pomieścić to na początku. Ród swój wszelkie budowanie wyprowadza od ziemi, drzewa, tak egipskie jak indyjskie jak greckie etruskie, jak też i ostrołukowe; to jest już w nauce rzeczą dowiedzioną (7) o czem i p. Łepkowski w swéj książce wspomina (8), Tém pochodzeniem tłómaczy się wiele tajemnic konstrukcyjnych i estetycznych jako to brak *stopy* (basis) w stylu doryckim i w ogóle w starożytnych, słup bowiem naśladował drzewo wyrastające z ziemi, początkowo też z surowego był obrobiony pnia, zkąd też powstały żłobki na nim, naśladujące korę lub słoje drzewa, nie zaś dla samego ożywienia wrażenia robione jak utrzymuje p. Łepkowski (str. 59). Lekkość stylu ostrołukowego źródło swe ma nie w czém innem także jak w nazwyczajeniu ludów u których powstał do budowania z drzewa z którego wysokie a niewywrotne stawiać można wieże samém powiązaniem belek mocne. Niewątpliwie popędem do tego piętrzenia murów było uniesienie religijne średniowiecznych chrześcian Europy środkowéj, ku niebu skierowane, podniosłe dążenie myśli, która w téj formie praktycznéj na północno-zachodzie i północno-wschodzie Europy znalazła gotowe słowo plastyczne na wyrażenie się; niebyło to jednak jak Kremer emfatycznie a bez ścisłości wyraża się „kwiatem i liczącéj refleksyi i fantażyi niebolotnéj“ (str. 119) przeciwnie brak liczącéj refleksyi był powodem iż te mury nadmiar wysokie a szczupłe na sposób drewnianych budowli stawiane, wywracały się tak, iż musiano je skarpami podpierać, jak się podpiera walące się drewniane budynki—inna rzecz iż to zdołano zamienić na estetycznie piękne i zajmujące, nas mieszkańców leśnych równin, formy architektoniczne. Że na te myśli p. Łepkowski nie wpadł bardziéj jeszcze zadziwia gdy na stronach 172 i 170 wiersz 3 czytamy określenia sposobów drewnianego budowania z których w prostym kierunku wyprowadzone wnioski ogółowe byłyby go na tę drogę poglądu zasadowego poprowadziły.

Dotkniemy teraz niektórych drobniejszych a bardziéj jeszcze szczegółowych błędów zasługujących na poprawienie, aby potém jasne strony pracy p. Łepkowskiego uwydatnić.

Str. 49 „skróceń i perspektywy nie znali egipscy rzeźbiarze” wyrażenie sprzeczne z istotą rzeźby która *skróceń nieużywa wcale*, to rzecz malarstwa, perspektywy zaś o tyle tylko o ile do zachowania proporcyi postaci w ograniczonych miejscowościach może zachodzić tego potrzeba, alež w proporcyach postaci jak wiemy Egipcyanie byli mistrzami Greków którzy w perspektywę w rzeźbie także wcale się niewdawali; wkroczenie zaś tego środka malarskiego w płaskorzeźby podczas odrodzenia sztuk we Włoszech w XVI wieku jest pierwszém znamieniem upadku téj sztuki.

Str. 52 „Charakterem ich (budowl indyjskich) jest swawola w ornamentacyi, zbytek w ozdobach a w ogóle brak prawideł i ładu,” wyrażenie nie malujące rzeczy dokładnie. Bujność fantastyczna jest tam istotnie wielka, a ozdobność zwłaszcza w niektórych, niedająca się porównać z inną architekturą jak chyba z ostrołukową, z którą też indyjska ma wspólny charakter dowolności wytwarzania coraz nowych motywów konstrukcyjnych i estetycznych czem stanowczo różni się od stylów: egipskiego, greckiego, a poniekąd i rzymskiego nie ma tam jednak „braku prawideł i ładu” ale bujność twórcza formująca się jednak do tyla podług pewnego ładu i prawideł tworzenia, iż tak styl indyjski jak i ostrołukowy mają swoje cechy po których je natychmiast poznać można: bezład byłby brzydotą,—Hindusów budynki nie są brzydkie a podziw wzbudzają niesłychaném bogactwem pomysłowości.

Str. 53. W ogólnem określeniu budownictwa zachodnio-azyatyckiego powiedziano, że tam kamiennych słupów dotąd nie znaleziono, należałoby dodać przy opisie Persepolis (str. 55) iż słupy Persepolitańskie są kamienne, do dziś dnia bowiem stoją a od nich ruina nosi nazwę miasta czterdziestu słupów.

Str. 57. „Była świątynia grecka... niebogata ozdobą wewnątrz ale raczéj na zewnątrz bijąca w oczy harmonią i ornamentyką sutą” na harmonię zgodzić się należy — co zaś do ornamentyki uderza w niéj właśnie nie sutość jak w pokrytych w zupełności płaskorzeźbami Egipskich kolumnach i ścianach lub jak w indyjskich w koronkę powycinanych wypukłemi rzeźbami piramidalnych pagodach, ale skromność i wstrzemięźliwość w ogóle, a harmonia panująca pomiędzy wnętrzem a zewnętrzem świątyni. Niebrakowało bowiem i wewnętrznych płaskorzeźb malowanych i złoconych,—dowodem na to wewnętrzny fryz Partenoński odpowiadający attykom i metopom zewnętrznym.

Str. 73—4. Zdanie o braku podobieństwa bazylik pogańsko-rzymskich do pierwszych kościołów chrześciańskich naciągnięte; były bowiem też same bazyliki z zastąpieniem krzesła sędziowskiego przez ołtarz, i z małemi innemi odmianami, używane do pierwotnych obrzędów chrześciańskich, nader skromnych w formie.

Str. 191. Niepodobna zrozumieć co znaczyć ma zdanie iż w architekturze egipskiej „widać wszędzie wielką dowolność” zwłaszcza gdy rozwinięcie dalsze tego zdania uczyniłoby każdy styl równie lub bardziéj dowolnym niż egipski—to co p. Łepkowski mówi o filarach, o rzeźbie i malarstwie dałoby się na tejże saméj podstawie do sztuki greckiéj jak i do gotyckiéj zastosować, żeby zaś belkowanie nie miało się opierać na filarach tego p. Łepkowski dowieść nie jest w stanie, istnieje bowiem nie mało szczątków pałaców i świątyń w Egipcie, gdzie te belkowania kamienne opatrzone pewnemi stylowemi podstawkami od trzech lub więcéj tysięcy lat do dziś dnia na filarach leżą. Domyślać się można iż p. Łepkowski chciał mówić tu o dowolności planu architektonicznego pałaców nie mających téj jedności ułożenia jak to w rzymskich, średniowiecznych lub dzisiajszych widzimy architektonicznych pomysłach, ale że plan był tego rodzaju że można było rozszerzać pałac w jednym, dwóch lub trzech kierunkach na podobieństwo rozrastających się konarów drzewa. Trudno jednak nazwać to dowolnością co było rozwojem pełném dowcipu w pomyśle a systematyczności w przeprowadzeniu tak zawsze jednostajném iż się stało stylowém.

Str. 195. Prosta omyłka; świątynia ateńska Nikeapteros stoi do dziś dnia w ruinie i jest w stylu jońskim (9) Propylee były w połowie jońskie.

Str. 206. We wzmiance o najważniejszych zabytkach gotycyzmu we Włoszech, wydrukowano we Florencyi zamiast w Medyolanie, lub Medyolan opuszczono.

Str. 265. Podobną omyłką może nawet drukarską jest tu „Centaurów” zamiast Minotaura.

Str. 388. Opuszczony pomiędzy dziełami Thordwalsena Kopernik w Warszawie zamieszczony dopiero w wykazie dzieł sztuki str. CLXII pod wyrazem Warszawa.

Str. 289. Korneliusa malowidło o wiele przecenione, jest ono tak liche iż tych zalet wyrazu, które wmawiają w siebie Niemcy iż je dostrzegają, dopatrzeć bezstronnemu widzowi trudno. P. Łepkowski wiadomość o tym obrazie musiał z niemieckich źródeł zaczerpnąć.

Przystąpmy teraz do wymienienia i wyliczenia jasnych stron pracy p. Łepkowskiego.

Pierwszą zasługą autora jest iż téj pracy podjął się i doprowadził do skutku, jakkolwiek sam specyalnym studyom żadnéj gałęzi sztuk nie oddany, ubocznie tylko przy archeologicznych pracach tym też zabytkom duchowéj, idealnéj pracy niejedną chwilę poświęcić zmuszony, zebrał spory snop wiadomości pożytecznych.

Pożyteczność i ważność téj książki nie ulega zaprzeczeniu. Z wymienienia samych nielicznych zboczeń od prawd estetycznych i faktycznych czytelnik przekonaćby się już mógł iż na tych 600 blizko stronnicach zapisano mnóztwo

(7) Grobowce egipskie kute w skałach i greckie najdawniejsze w Nakolei (w Lydyi) są ścisłem naśladowaniem budowania z drzewa, te ostatnie posunięte aż do naiwnego naśladownictwa układu nieobrobionych okrąglaków, używanych w pierwotnem budownictwie.

(8) Str. 61 pierwszy wiersz, str. 169 „to co sztuką zaczyna“, wiersz 12.

(9) Patrz Wieniec Nr. 18.

rzeczy które po raz pierwszy ([1]) czytelnikom polskim przed oczy postawione i objaśnione rycinami powinny wzbudzić w nich zajęcie szczególne i żywe.

Materyału szczegółowego do tego zajęcia w dziele samém nie zabraknie. Wspominałem już o pierwszych 12 stronnicach książki, tego rodzaju określeń zdrowych a jędrnych nie mało się jeszcze znajdzie.

Gdzie p. Łepkowski sam przemawia dosadniejszym jest niż cytowani przez niego autorowie: Wady stylu rzymskiego na przykład kilkoma wierszami wybornie scharakteryzowane. „str. 70“ Bramy owe (tryumfalne, częstokroć pośród placów stawiane) nie prowadzą do niczego, kolumny nic nie podpierają, belkowanie udane, złudne wszystko i attyka koronująca bramę jest dekoracyą tylko!!. Podobnież dobre określenia są stylów Bizantyńskiego, Romańskiego, ostrołukowego, arabskiego, który p. Łepkowski od namiotów i kobierców wzorzystych wywodzi.

Dodatnią stronę pracy stanowi także terminologia architektoniczna polska z dzieła Podczaszyńskiego pracowicie tu przeszczepiona.

Nie małym tytułem do zasługi p. Łepkowskiego jest iż krajowym zabytkom sztuki i artystom tak mało w ogóle przez swoich nawet znanym, oddał pierwszeństwo pod względem ilości miejsca jakie zajmują i szczegółowości rozwinięcia wywodów objaśniających kto co i ile na tém polu do dziś zdziałał,—jako też dobór drzeworytów dokładnie rzecz objaśniających. Drzeworyty służące za wzory i przykłady stylów są o ile to być mogło brane z budowl w kraju znajdujących się, zatém pod oczy czytelników podpadających; zastosowanie wzorów którego z pożytkiem używałem przy wykładach moich o sztuce dla kobiet w roku zeszłym.

Średnie wieki p. Łepkowski opracował z szczególną starannością i drobiazgowością, chociaż jak sam też przyznaje nie mógł w tak szczupłych ramach dać wyczerpującego obrazu całości. W tych badaniach napotykamy też ważne jedno postrzeżenie, dotyczące tak zwanych kościołów Duninowskich, zbadane rozwinięte i objaśnione szczególnie trzeźwym poglądem i głębokiém wniknieniem w tę sprawę odwieczną.

W ogóle z rzeczami krajowemi p. Łepkowski jest dość obszernie obeznany i to stanowi jedną z najwybitniejszych stron książki jego. Życzyć temu dziełu należy aby jak najprędzej wyczerpane w pierwszém wydaniu mogło się doczekać po latach jakichś drugiego poprawnego i pomnożonego. Mówię to z całą otwartością i szczerością, tak względem autora jako też i ciekawéj nauki publiczności, autorowi bowiem potrzeba czasu aby nowe wydaniu mógł opracować, czytającym zaś aby to pierwsze przetrawiwszy mogli pójść krok jeszcze naprzód za wskazówkami drugiego.

W. Gerson.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

ROBERT I BERTRAND

czyli DWAJ ZŁODZIEJE.

Krotochwila w czterech aktach

tłumaczona z niemieckiego, przez Władysława Anczyca.

Nie masz podobno większego skarbu wśród rozkoszy tego świata nad wesołe usposobienie. „Śmiéj się góro! śmiéj się chmuro! niech zahuczy swawola”... wzywa jeden z najroztropniejszych dziwaków jakich wytwarzać umiała Izawa, w uśmiechach swoich fantazya Syrokomli. Niezatrzymując się dłużéj nad filozoficzném znaczeniem téj rady, sądzimy że jéj trafność widoczna dla każdego, a pożytek ze wszech miar niewątpliwy.

W repertuarze warszawskiéj sceny panuje właśnie od pewnego czasu taka wesołość. Po kilku farsach osłonionych nazwą komedyjek lub komedyj wytrząśnięto obecnie z rogu demokryckiéj obfitości „nagą i nie zawstydzoną niczém” krotochwilę.

Bo i czegóż naprawdę nowa tandetna sztuka rumienićby się miała? Czy błahych pozorów swoich w obec silnéj barwy Trzech Kapeluszy? czy treści wziętéj ze znanego baletu? Drobnostka. Deski na których występują z odkrytą przyłbicą dwaj rycerze Robert i Bertrand, nie są przecież śnieżnym kobiercem niewinności. Udawało się przejść po nich ciężko obarczonym grzesznikom, udać się więc może i sprężystym, kieszonkowym złodziejem.... pomimo groźby starego przysłowia.

Jeśli w wyborze widowiska trzeba zgodzić się koniecznie na zamaskowaną lub jawną farsę, wolimy już ją lekkomyślną szczerze, niż udającą dla blichtru morał a powagę. Robert i Bertrand nie czynią przynajmniéj wrażenia przykréj, bo nieumyślnéj karykatury. Znając dobrze swą wartość nie troszczą się oni zgoła o szacunek publiczności. Cel to zbyt marny, korzyść zbyt nie ujęta dla przestrojonych z niemieckiego na polskie bohaterów. Byle zarwać coś ze zdobyczy realnych: brzęczącą monetę lub papierową gotowiznę naprzykład—reszta... O Sparto ruń!... Resztę *oderwanych przedmiotów* poświęcają oni chętnie zwolennikom duchowego kapitału...

Wierni raz powziętemu upodobaniu, wytrwali w przekonaniach, pełni nadziei w dniach klęski, a zręczni w porze niebezpieczeństw Robert i Bertrand dzielą swą czynność na dwa rodzaje zabiegów. Starają się oni użyć, o ile można najskuteczniéj cudzym, wyładowanym mamoną kieszeniom... i uniknąć bezpłatnego mieszkania, do którego straż policyjna natrętnie ich zaprasza. Pojmani i osadzeni w więzieniu, opuszczają przy końcu pierwszego aktu, gościnny przytułek zamknąwszy na klucz dozorcę; poczém przez następne trzy akty, dokazują cudów zręczności w swojém rzemiośle, aż wreszcie po krótkim lecz świetnie spełnionym zawodzie, powrócić znowu muszą do znajomych ścian celi i okien, obwarowanych żelazną kratą. Sic transit gloria mundi.

Przypatrując się w wielkim teatrze przedstawieniu Dwóch Złodziei, trudno nie pożałować talentu i pracy naszych zdolnych komików panów: Damsego, Chomińskiego, Szymanowskiego i Ostrowskiego. Grają oni tę nędzną sztuczkę doskonale. Zwłaszcza celującym jest w swojéj roli p. Ostrowski. Jako nadęty bogacz zwaryowany na pretensyach do arystokracyi, butny do głupoty w stosunkach z podwładnymi, a korzący się niewolniczo przed oszustami przebranymi za magnatów zagranicznych, których tonu bezczelnie okradają, protektor dla dobrego tonu sztuk pięknych na których nie zna się wcale, żyd—bankier odtworzony na scenie przez p. Ostrowskiego posiada wszelkie zalety typu; odznacza się charakterystyką energiczną, wydatną w każdém odcieniu a niedopuszczającą się bynajmniéj przesady. Podobne figury nadają się dobrze do komedyi wyższego rzędu: są to pasożyty rozrosłe na ciele społeczeństwa, którego najżywotniejszemi karmiąc się sokami, nie udzielają mu nawzajem lichéj nawet cząsteczki, nabytéj wprost od niego siły. Broń śmieszności jednak użyta tu z zupełném powodzeniem przez naszego artystę, jest na nieszczęście obosieczną. Sięga ona po za swój zamiar i raniąc mimochodem przeznaczonych na ciosy winowajców uderza w drażliwą stronę kwestyi towarzyskiéj, z wielu ważnych względów zasługującéj na oszczędzanie. Istnieje pewna miara któréj chłosta satyry nigdy przekraczać nie powinna. Miara ta rozciąga się do wad i występków *rzeczywistych*, skoro zaś posunięta będzie daléj, zamienia się w bezowocne szyderstwo, lub w zaczepkę ogólnemu interesowi szkodliwą. Dodać trzeba, że p. Ostrowski wziąwszy na siebie rolę bankiera, zastosowywać się już odtąd musiał do jéj wymagań.

Ha, niezbadane są wyroki reżyseryi!...

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

POSTĘP WYOBRAŻEŃ RELIGIJNYCH W STAROŻYTNOŚCI.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 50.)

(Ob. Nr. 50.)

Chaque lieu de la nature, chaque moment de la durée ayant son génie propre réprésente la Divinité sous une face particulière... A ce point de vue, l'histoire est un culte éternel auquel chaque civilisation ajoute un rite souvent baigné de sang.

Ed. Quinet (Génie des religions).

In unsern Geistern, leben die Geister aller Verstorbenen, aller Zeiten.

H. Steinthal (Mythos und Religion).

Lecz cóż to? Niedawno czysty jeszcze horyzont pokrył się zawcześnie i w ciągu niewielu chwil brudnemi plamami. Plamy te rosną w ogromne czarne massy, w skrzydlate o straszliwych pozorach widziadła... Gromadzą się one na błękicie, ścierają się z sobą lub razem pędzą... Słychać wrzawę, świst okropniejszy od sykania gadów, ryk przeraźliwszy od ryku lwa. Przelatuje huragan, migocą błyskawice, piorun uderza... Czémże są i zkąd się wzięły? pierwotny człowiek znowu nie może dać na to odpowiedzi. Nie zna on praw natury, nie miał mistrzów, którzyby mu potrafili objaśnić zjawisko burzy, tłumaczy więc je sobie walką mieszkańców nieba, a skoro raz w wyobraźni swéj zaludnił nadziemskie przestwory, odtąd już potrzebuje tylko przedstawić sobie postać i przymioty owych niebian, tak żeby charakterystyka imaginacyjnych istot zgadzała się z widzialném ich działaniem. Odgłosy słyszane podczas nawalnicy każą mu domyślać się atletycznych sprawców téj wrzawy. Muszą oni chyba wzrostem swoim prześcigać najwynioślejsze palmy, ba, nawet najwyższe góry, rękami ciskać odłamy granitów, przebywać w bród morskie topiele, lub na barkach swych dźwigać niebios sklepienia.... Niepojęty fenomen wywołuje wówczas liczne komentarze, a każdy zdaje się być zarówno wiarogodnym, gdyż żadnego *ani stwierdzić, ani odrzucić zasadnie niepodobna.* Z mnóstwa domniemań naprędce urojonych i powtarzanych później, dla braku wszelkiéj kontroli, z namaszczeniem pewności, tworzą się nakoniec dokładne rysopisy i genealogiczne wywody, odgadują się fizyognomie, interesa, powinowactwa i hierarchiczne stanowiska bogów. Podanie już istnieje, wkrótce stanie się ono powagą historyczną, religijną, administracyjną i obyczajową—dalszym postępem pogaństwa.

Tymczasem dzień po dniu i wiek za wiekiem przybywało ludziom doświadczenia. Prawnuki zastąpiły praszczurów, łuk i strzały, maczugę, szałas, grotę, zorganizowana horda — żyjące od-

([1]) Stanisława Potockiego o Sztuce u dawnych było dziełem istotnie tylko o dawnych a nie naukowym podręcznikiem.

rębnie rodziny. Wynaleziono sposób wydobycia i utrzymywania ognia, młot i siekierę, lemiesz i sierp, oręż i żarna; zaczęto ułaskawiać niektóre ze zwierząt, uprawiać rolę, przysposabiać pokarmy. Człowiek rozpatrzywszy się lepiéj w słabéj stronie swoich niebezpiecznych dotąd współzawodników nabierał otuchy i przyzwyczajał się cenić właściwiéj swoje ludzkie dostojeństwo. Już teraz nie był on zmuszony ochronić się ustawicznie przed napaścią, lecz w wielu razach umiał ją uprzedzić, i z tego co mu zagrażało wyciągać korzyść; teraz nietylko szukał on środków obrony, ale posiadał już możność stawienia się zaczepnie. Zamiast kryć się, napadał na wrogów swoich, jednych zabijał dla jadła, drugich łupił dla ozdób i odzieży, lub pojmawszy żywcem dzikie zwierzęta, zaprzęgał je do jarzem i do wozów, zniewalał dźwigać ciężary, zabierał im wełnę i mleko, wdrażał do służby na łowach, w bojach i w domu. Tak odmienny stosunek człowieka do innych tworów nie pozostawał też bez wpływu i na jego wyobrażenia bałwochwalskie; zwycięzca nie mógł już mieć czci rzetelnych dla istot zwyciężonych. Szacunek, bojaźń i wiara wywołane dawniéj zależnością położenia, grozą sił natury i niedostatkiem najelementarniejszych pojęć o życiu i świecie, zachwiały się jednocześnie z ustaleniem się nowego stanu rzeczy. Przemoc brutalna, muskularność członków, ostre kły i szpony przestały być dla człowieka cechą doskonałości i wszechpotęgi, skoro nauczył się jak ma z niemi walczyć i jak pokonywać, a ta praktyczność lubo rozwinięta w bardzo nieznacznym stopniu podcięła w epoce, o któréj mówimy pień fetyszyzmu. Przez czas jakiś podtrzymywały go jeszcze wysiłki konserwatystów pogaństwa, ale co mogło dłużéj przechować się i utrwalać na miejscu mocą nałogu, to słabło lub zatracało się w migracyach. Pierwotni ludzie bowiem w wędrówkach swoich zostawiali za sobą nie tylko dawne swoje gniazda i znane okolice... Zmieniał się także ich horyzont umysłowy, zacierały się poprzednie obyczaje i wierzenia. Na opróżnione miejsce jednego błędu z którym rozstawała się przesiedlona w inne kraje gromada wstępował wprawdzie błąd równie na pozór niedorzeczny ale w rzeczy saméj logiczniejszy od zaniechanych bredni o całą ilość nabytego w nowéj fazie doświadczenia. Gdy dwa plemiona żyjące przed tém oddzielnie, i wychowane w odrębnych pojęciach, spotkawszy się wreszcie z sobą weszły w stosunek sojuszu lub wojny, nie wynikało z tąd jedynie mechaniczne zbliżenie się społeczeństw lecz i zbliżenie się moralnych żywiołów. Rozsądniejsze wyobrażenia brały wtedy górę nad wadliwszemi, częściéj atoli przetwarzała się cała sfera przyniesionych z obu stron zasad, gdyż postawienie obok siebie dwóch fałszów, wykazywało demoralizującą sprzeczność między przyjętemi za niepożyty pewnik mniemaniami. Kłócono się, narzucano sobie gwałtem opinie, lecz w końcu zwyciężyła cząsteczka prawdy kryjąca się w głębi zarozumiałego sporu o przewagę jednego przesądu nad drugim. Fanatyzm wyczerpywał się w walkach, torując drogę porozumieniu się ubocznemu. Poznajomiono się z nieprzyjacielem któremu stawiono czoło, zaczęto przypatrywać się i przysłuchiwać uważniéj głosom które zmusić do milczenia usiłowano. Już niepodobna było wierzyć w powszechność tego lub owego zdania, niezgoda bowiem dowodziła możebności sądów przeciwnych, a taka możebność naruszała z konieczności powagę przekonań bronionych w obec samychże obrońców. Ci którzy gwałtem nie pozwalali wątpić wiedzieli jednak, że wątpić było można... Urok został zachwianym, pierwszy krok do zupełnego rozczarowania się uczyniono. Poczém coraz gładziéj szło się daléj.

W téj dobie ludzkość stanęła już na znacznéj wyżynie odnośnie do pierwotnego barbarzyństwa i bezsiły. Nie wystarczała już jéj *byle jaka przyczyna* żeby wytłómaczyć zjawisko, nie wystarczała zatém wyłączna działalność wyobraźni. Spostrzeżono, że fenomen mógł pochodzić *z różnych powodów* i że chcąc go słusznie ocenić, należało badać zkąd powstał, obserwować i porównywać, słowem, posługiwać się nie wprowadzonemi dotychczas w życie narzędziami: rozumem i doświadczeniem. A środki te służyły oczewiście i przedewszystkiem człowiekowi. On jeden z grona stworzeń był w stanie przechowywać tradycye, on jeden korzystał z praktyki całego swego rodzaju dziś i w przeszłości, jemu jednemu danem było przenikać i obracać na swój użytek rządy natury. Największą siłę jego stanowiła myśl, a tę siłę jak wspomnieliśmy rozwijać w sobie był zniewolonym choćby nawet niechciał gdyż ona to uzbrajała go przeciw wrogom, strzegła od niebezpieczeństw i usuwała przed nim najdokuczliwsze potrzeby. *(d. c. n.)*



Malinka rzuciła ręce na szyję swéj przyjaciółki, obsypała ją pocałunkami.
Illustracya Henryka Pillatego do powieści.

DWIE PRACOWNIE MALARSKIE.

Czyżby tylko te dwa rodzaje pracowni artystycznych istniały? nie, jest jeszcze trzeci, lecz tego wyobrazić w rysunku nie można; pomówiemy więc najprzód o wyobrażalnych.

Jest wielu ciekawych zobaczenia pracowni malarskich; mają one nawet już pewną ustaloną famę świecenia nieładem, Ta którą podajemy w rysunku jest dość typową, a nie ma w niéj ani pretensyonalnéj przesady, ani tego nieładu, który już w brud przechodzi; tu właśnie miły gość, znać do portretu siedzący starzec, podczas odpoczynku przygląda się postępowi pracy. Są bo rozmaite pracownie, a jak po ubiorze postaci, ruchach i obejściu, charakter człowieka poznać można, tak po ustroju pracowni artystę. Portreciści do koketeryi posuwają ozdobność w meblach i strojność malarni; surowi kompozytorowie idealni, mniéj dbają o powierzchowność, z ich czterech prostych nieozdobnych, bezpretensyonalnych ścian, wychodzą dzieła wypielęgnowane w trzeciéj pracowni o któréj na końcu mówić będziemy.

Gdzież jest ta druga? drugą jest cienista ustroń, dziki las, szczyty skał, pusta równina piaszczysta; słowem przyroda nakryta otwartym niebosklonem: w téj praca idzie miléj i swobodniéj choć w pocie czoła, przy Sierpniowym skwarze, lub nieraz wśród dojmującego zimna jesieni.

Jakaż jest trzecia? Trzecia zamyka w sobie skarby i nabytki dwóch poprzedzających, rozporządza niemi i szafuje: tą trzecią—umysł. I ta bywa rozmaicie zaopatrzona, w ozdoby próżne i świecidła złudne lub w wielkość pełną prostoty, w napuszystość lub skromność, a czasem w brudny nieład... z owoców ich poznacie je.!

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 12 (24) Іюня 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.